



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Seweryna z Żochowskich

Pruszkowa-Duchińska.

Zniezłomną wolą, z sercem niezgasłym,
Wśród półwiekowej zawiei,
Jam życie przeszła podświętem hasłem:
Wiary, miłości, nadziei!
(S. Duchińska).

Są jedne szlachetne dusze
z żelaza i stali, mocne i obo-
jęzeczne, dobre na dni ciężkiej
pracy; są inne z mgły, lek-
kie, woni i ułudnych blasków,
które chłoną w siebie melanco-
licznego życia i drobne uczucie odcie-
nia; są inne, surowe i nieprzy-
stępne, zamknięte w ścisłości
własnych obowiązków, i jeszcze
inne, które rozmiłowane w sztuce
i własnym natchnieniu, obce
się stają z czasem codziennemu
życiu i powszednim troskom
współbraci.

Nasza szanowna Jubilatka
święcąca obecnie 50 lat swej
pracy literackiej, ta kochana
i taka miła Seweryna Duchiń-
ska, ma w swej niepospolitej du-
szy coś z tego wszystkiego, co-
śmy wymienili wyżej, ale i coś
całkiem swojego, odrębnego, co
spaja w całość harmonijną po-
szczególne przymioty i czyni
tę duszę przystępną dla bliźnich.
Obok wytrwałej stali gdy było
potrzeba w dniach smutku, obok
uolotnych blasków młodości, obok
wielkiego poczucia swych róż-
norodnych obowiązków, obok
uwielbienia dla poezji i wy-
trwałości w własnym natchnie-
niu, posiada ona właśnie tę co-



Seweryna z Żochowskich Pruszkowa-Duchińska.

dzienną, słoneczną pogodę ducha,
tę kobiecą dobroć, połączoną
z werwą autorską, tę skromność
w trzymaniu o sobie a szlache-
cką butę w broniieniu dobra ogó-
łu, tę śliczną poetyczną formę,
w której podaje zawsze czytel-
nikom napój czysty, ze źródeł
rodziny tryskający, zdrowy
jak woda kryniczna, a wonny i
słodki, jak miód ze swojskich
kwiatów zebrany.

Od początku swej działalności
do chwili obecnej, gdy autorka
święci swój półwiekowy tryumf
pracy, widzimy, że w jej kra-
inie nigdy słońce nie zachodzi,
i nawet gdy noc nieuniknionych
cierpień na serce spadnie, to
tęże tam lampka cicha i wy-
trwała, która chroni od stra-
chów, zwątpień i zniechęcenia.

I wedle własnych słów poetki,
choćby jej nad głową przemknął
piorun z gradową chmurą:

„Jabym to biedne skruszyła
[pióro,
„Gdyby zgrzytnęło rozpacz!”

Jaka to ujmująca odporność
ducha, godny naśladowania przy-
kład dla młodych adeptów poe-
zyi, którzy pierś rozrywają pe-
symistycznymi jękami choć ni-
czego jeszcze nie przetrwali po-
ważnie.

S. Duchińska urodziła się we
wsi Koszajcu w okolicach So-
chaczewa, w szesnastym roku
życia poślubiła obywatela ziem-
skiego Tomasza Pruszkę, a o-
wdowiawszy poszła za mąż
(1864) za uczonego historyka
Franciszka Duchińskiego, z któ-
rym długie lata przeżyła za
granicą: w Szwajcaryi i we
Francyi, mianowicie w Pary-

żu, gdzie dotychczas stale zamieszkuje. Pierwsze prace p. Pruszkowej umieszczał K. Wł. Wojcicki w swoim Albumie literackim i drukował też „Biblioteka Warszawska.“ Między latami 1856 a 1863 zajmowała się Duchńska redakcją tak pożytecznych i wybornych „Rozrywek dla młodocianego wieku,“ a w 15 tomach tego wydawnictwa zebrał się duży plon najładniejszych utworów autorki tak z poezji jak i prozy.

Do wybitniejszych dzieł należą oprócz tego: „Powieści naszych czasów“ (4 t., Warszawa, 1853), „Gawędy i powieści“ (1854), „Powieści poetyczne“ (1855), poemat „Elżbieta Drużbicka“ (1855), „Obrazki dramatyczne“ (1857, powieści poetyczne: „Sebastyan Klonowicz“ i „Dwie gwiazdy“ drukowane w „Bibliotece Warszawskiej.“ Jako tłumaczka przyswoiła naszej literaturze parę dzieł poważnych, jak: Eichoffa „Obraz literatury średniowiecznych ludów, mianowicie Słowian i Niemców,“ oraz „Dzieje Węgieł“ I. Boldye'go, dalej dramat Manuel'a: „Nieobecny,“ wystawiony na scenie warszawskiej 1874 r., i na koniec przełożyła mnóstwo poezji z różnych języków na polski z taką dokładną doskonałością oryginałów, że stają się one jakby własnością literatury ojczystej. Warto by ten cały wyborny dorobek z obcych niw zebrany a tak świetnie przyswojony, zebrać razem i wydać jako osobne parę tomów „Tłumaczeń“ Duchńskiej.

Pomimo wieku i ożywionych stosunków towarzyskich i rodzinnych, nie ustaje autorka w pracy, pisze, ciągle, ochotnie, łatwo, i serdecznie, prowadzi osobiście ogromną korespondencję i ma jakoś czas na wszystko: na natchnienie, świat, ludzi, wspomnienia długiego życia i niegasnące nadzieje dla swoich bliższych i dalszych, a pióro suwa się w jej zasłużonej ręce bez spoczynku, z młodzieńczym nieledwie zapalem, jak powiada sama:

„Długie półwieku mnie pieśń kołysze,
„A pióro chwyta jej dźwięki;
„Póki mnie woła, póki ją słyszę,
„Nie puszcze pióra z mej ręki!“

Rozpocząwszy zawód swój literacki bardzo wczesnie, przechodziła Pruszkowa różne jego epoki, stopnie rozwoju i doskonalenia się; niejedną i trudną miała chwilę, ale ją przetrwała, to cierpliwie, to odważnie, i poszła dalej, a talent rósł, i rozwinał się w końcu w pełnię ślicznego języka i formy, w dojrzałość poważnych myśli, w pewność niewzruszoną zasad dobra, szczerą prawdę, wielkiej prostoty, i tej, że się tak wyrażę, serdecznej poufałości, z jaką się autorka zwraca i do ludzi, i do ideałów najwznioślejszych, ściągając je z podobocznego wyżyny między pracujący tłum, między trzeźwe umysły i otwarte serca, czyniąc tym sposobem z rzeczy wielkich, wzniosłych i szczytnych, dobroczynną a przystępną rosę dla spragnionej rzeszy ludzi, którym życie idzie opornie i trudno.

Właśnie to jakieś swojskie, zdrowe, pszeniczne, sosnowe tchnienie, ta rdzenna rodzima żywica krążąca w utworach Duchńskiej czyni je tak miłymi i cennymi, że je każdy jakby znał już czytając, tak ich podstawy tkwią każdemu w sercu i własnej ducha głębinie. Dzieła jej tak są już znane, tak od lat dziecinnych towarzyszyły nam kolejno w kształceniu się, że ich po szczególe rozbierać nie będziemy, przypomnimy tylko, że kilka tomów „Królewskie śluby“ dorobił muzykę lwowski muzyk profesor p. Sołtys. co razem wzięte, bardzo wzruszające czyni wrażenie, i że autorka posiada mnóstwo materiału z którego może niejeden tom jeszcze powstanie.

W tym ciągłym poetycznym nastroju lutni trzyma poetkę niezawodnie to smętne uczucie tęsknoty za rodzinnym miejscem, za wsią i lasem, za ptaków śpiewem i ludźmi na roli, to też gdziekolwiek losy ją uniosły, jakiekolwiek oczom zjawily się obrazy przyrody i ludzi, ona porównywa je zaraz i na nowo do swoich ulat myśli i pieśni.

Oto piosnka napisana nad jednym z najpiękniejszych jezior Szwajcaryi, wśród przepychu

alpejskich obrazów natury, które swem wrażeniem odrazu obudziły strunę wspomnień i tęsknot niezapominającego serca:—

Obraz wspaniały—góry i skały
Przed sobą mam,
Lecz obraz w myśli—inny się kręśli
Jam duszą tam!
Wśród obcych ludzi—serca nie zbudzi
Przyrody cud,
Obce tu zdroje—góry nie moje—
Nie mój tu lud.
Smutno też płaczę, na dni tułaczę
Brak w piersi tchu,
Łzy me i żale—jeziora fale
Zliczyły tu.
Nad Alp szczyt biały—nad lodozwały
Świat miłszy znam!
Ah! dla mnie jeden—na ziemi Eden,
Jam duszą tam!

(P. Wojciechowej Cybulskiej
na pamiątkę. S. D. 1873. 15—1).

Więc i my dziś, przy tym jubileuszu poezji, pracy, zasług, przy tym jubileuszu serdecznej tęsknoty, i pamięci, przy tym jubileuszu wspomnień i głębokiej miłości, ślemy zasłużonej poetce i serdecznej, zacnej kobiecie, nasze jaskółcze pozdrowienie i cześć, które przez rzeki, przez Alpy, przez tłum ludzi, i falę czasu, zawsze do niej dolatywać będą jako echo pamięci wzajemnej i serca.

Szczesna.

Do wnuczki M. J.

odwiedzającej grób dziadów.

W mej nieskończonej żałobie,
W tej nocy czarnej i głuchej,
Bóg dobry zesłał mi w tobie
Promyk słonecznej otuchy.

Chłód straszny wieje po świecie,
Od mrozu kwiaty więdną,
A w młodej duszy twej, dziecię,
Rozkwita wiara z nadzieją!

Ty, z sercem pełnem miłości,
Kłękłaś nad cichą mogiłą,
Uczciłaś tych dziadów kości
Co nam przykładem i siłą.

Wśród zmaconego dni trudu
Dziad boży sługa niezłomny,
Szlachetnie stał pośród ludu
Na przykład dziatwie potomnej.

A babka, wzór polskich matek,
Zamknięta w domowym progu,
Żyła dla męża, dla dzieci,
Wierna swej ziemi i Bogu.

Pilnujmy drogiej spuścizny,
Głos ich do pracy nas woła,
Zagon wskazuje nam żyzny
Zroszony potem ich czoła.

Sierp twardy wrósł mi do ręki,
Pół wieku staję do żniwa,
Ich przykład,—dziękuj im, dzięki,
Moc nową u mnie dobywa.

A gdy mi ramię omdleje,
Gdy całun oczy zasłoni,
Wszak sierp mój nie zardzewieje,
Maryniu, w krzepkiej twej dłoni?

Ty go podejmiesz ochoczo,
Gdy trud twe lico zrumieni,
Skrzydły cię swemi otoczą
Zmarli przez ciebie poczczeni!

Seweryna Duchńska.

ODWIEDZINY.

Z szczerem zajęciem przestępowałam progi zajmującego domu przy ulicy Passy w Paryżu, ciesząc się że zobaczę pełną zasług jubilatkę, która właśnie święciła swoje 50 letnie gody poetyckie. Zastałam co innego niż się spodziewałam. Wyszła do mnie ożywiona, uśmiechnięta, pani Duchńska, pomimo ósmego lat dzieśiątka, wyglądająca świeżo, z oczami pełnymi życia i dobrych spojrzeń, pełnych życzliwej gościnności. Zajęta właśnie była porządkowaniem cennych, a licznych adresów, albumów, listów, fotografii jakimi ją zarzucono z różnych stron świata, poczynawszy od Krakowa, Lwowa, Poznania, aż do Genewy, Sofii, Smyrny, gdzie jej prace znalazły sympatyczne echo i wspomnienia. Szanowna autorka zręcznie, z wdziękiem niemal krzątała się koło swego jubileuszowego plonu, częstowała znaną u niej dobrą herbatą i ciastkami własnej roboty, bo i na to ma czas ta ręka, która do 70 tomów napisała prac różnych. W gospodarowaniu pomagała jej owa w ślicznym wierszu opisana „Walentyna“ stara służąca od lat wielu dzieląca trud domowe i smutki swej niepospolitej pani. P. Duchńska przyjmowała właśnie kilkanaście osób, dla każdego mając serdeczne słówko, miłe spojrzenie, uśmiech uprzejmy, dobrą radę lub dowcipną odpowiedź. Rozmowa toczy się w tym saloniku żywo i szczerze, o wszystkim co umysły wyższe zająć może i serce poruszyć, więc i o sztuce i o przyrodzie, o artystach i o biednych dzieciach z zakładu św. Kazimierza, o polityce i o ochronkach i pożytecznych stowarzyszeniach, które p. Duchńska popiera i udział w nich czynny bierze. Patrząc na zajęciem na tę twarz wyrazistą ruchliwą, rozumną, a pogodną i szczerze podziwiałam tę siłę ducha i zdrowia w tym wieku po tylu i pracach i przejściach życiowych, tę świeżość pamięci i fantazyi zachowaną jakby talizmanem, dobrym do lat sędziwych. I mimo-woli zestawiałam w wyobraźni ten typ młodej staruszki z naszymi tak licznymi paniami zwiędłymi za młodo, zniechęconymi i znużonymi własnymi nerwami, niezdolnymi do pracy, a tem mniej do walki z przeciwnościami losu, i szukałam psychicznego powodu tak ogromnej różnicy. Otóż wnosząc z własnych słów jubilatki i z ustępów jej pamiętnika dochodzę do przekonania, że ta krzepka dziś i „młoda“ jubilatka, miała bardzo rozumną, bardzo mądrą i przezorną matkę i że ta dzisiejsza siła ducha i odporność zdrowia mają źródło w wybornem, umiejętnem wychowaniu.

Dzielna matka zaopatrzyła swoją ukochaną jedynaczkę na drogę życia w miłość, energię, przytomny umysł, zaparcie się siebie, w tę nieocenioną prostotę, która widzi jak i co się dzieje, trafia właśnie w sam cel rzeczy, i bez pomyłek dochodzi do mety, nie wyczerpawszy się na daremną szarpaninę. Ona to nauczyła córkę pracować, poprzestawać na małym liczyć na własne siły, ludzi kochać, a złego niecierpieć, i trzymać się prostej, a szerokiej drogi

Na tej też drodze godna córka swej matki kroczy naprzód, umiłowana od swoich i obcych, zawsze serdeczna, nie rozgoryczona doświadcze-

niami i taka dobra, że miło, bardzo miło progi jej domu przestąpić, i miło potem te odwiedziny wspominać i wspomnieniem się dzielić z drugimi.
S. Chwatowa.

Ferzy Gordon Noel Byron.

STANZE DO MUZYKI *).

(Z nietłumaczonych poezji Byrona).

„O Lachrymarum fons, tenero sacros
Docentium ortas ex animo: quater
Felix! in uno qui sentantem
Pectore te, pia Nympha, sensit.“
(Z poezji Gray'a).

Czyż świat nagrodzić może nam
Wydartych uciech czar,
Gdy w głuchy ból spopiela się
Młodzieńczej myśli żar,
Nie tylko szybko zwiednie lic
Rumieniec w biegu lat,
Lecz, nim młodości zejda dnie,
I serca skona kwiat.

Niewielu wówczas tych, co mkną
Na szczytkach szczęścia w dal,
Co wśród występku mielizn brną
Lub wśród rozkoszy fal,
Zatraca kompas—lub też brzeg
Naprawdę im wśród burz
Ukaże—bowiem okręt ich
Tam nie dopłynie już.

Moc ducha jakby śmierci chłód
Poczyna wówczas ćmić...
Nie może cudzych bólów czuć,
O własnych nie śmie śnić...
Zamraża źródło naszych łez
Surowy, groźny chłód
I, lubo żrenić płonie blask,
W nich skrzy się tylko lód.

Choć dowcip może płynąć z ust,
Wesele tryskać z łon,
Północy znanym nie jest już
Dawnego wczasu plon.
Tak wień zwaliska, które bluszcz
Opłata — ludzą nas
Zielenią świeżą swoich ścian,
Gdy spodem szary głaz.

Gdybym mógł czuć jak czułem—być
Czem byłem niegdyś już...
Lub płakać, jak płakałem nad
Zachodem wielu zórz...
Jak w stepie słodkim zdaje się
Słonawy każdy zdrój,
Tak oby potok dawnych łez
Step życia zrosił maj!

Przełożył z angielskiego
Władysław Nawrocki.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

II.

Niedaleko od Kazanowa nad Wisłą leżała wieś Bobrowice, należąca do chorążego Wincentego Ługowskiego.

Wioska cała otulona była w sady, wzdłuż rzeki biegły smugi łąk zielonych, dokoła, na wzgórzach siniły wspaniałe lasy. Z wieży starego kościółka błyskał z poza drzew krzyż złożony.

Dwór obszerny i murowany wznosił się nieco za wsią, na wzgórzu łagodnym spływającym ku rzece. Po za nim widniały zabudowania gospodarskie, tudzież ogromny sad, rozciągający się aż do wody; wszystko opasane rowem i wysokim, odarniowanym okopem. Dalej szły obszerne pastwiska, obrzeżone krzywami, pokręconymi wierzby.

Słońce niedawno zeszło, łąki i sad błyszczwały od rosy; na podwórzu jeszcze nie widać było ruchu wielkiego, tylko ryk bydła, pędzonego na paszę, przerywał ciszę poranną, kiedy drzwi od domu otworzyły się i przez pustkę do sadu wbiegło młode dziewczę, mogące mieć lat najwyżej siedmnaście. Ubrana w granatowy staniczek i niebieską kamlotową spódniczkę biegła po ścieżce, a warkocze długie, kasztanowe ze złotym odcieniem raz wraz uderzały ją po plecach. Czasem gdy nieposłuszne włosy zsuwały się jej na czoło, odrzucała je wdzięcznym ruchem a ruch ten oraz nieznaczne ściągnięcie brwi ciemnych dowodziły, że były tam i śmiałość i wola, tylko spowite jeszcze w dziecinnej nieświadomości. W oczach szafirowych malowała się szczerokość i dobroć, nie bez pewnej jednak chętki do psoty, która ukrywała się tam gdzieś w kącikach jak duch figlarny i złośliwy. Lica rumiane, jak róża okryte były jeszcze tym wdzięcznym puszkim, który je czynił podobnymi do liście dziecięcia, cała zaś postać odznaczała się wielką zgrabnością ruchów.

Dziewczę wbiegło do sadu, a za nią wpadł duży pies czarny, który widocznie musiał być jej ulubieńcem, bo przyskoczywszy do niej, wsparł się obu łapami na ramionach i w twarz poliznął.

— Kruczek, jesteś niegodziwy — odrzekła dziewczyna, grożąc mu — pobłocisz mię, a potem pani Katarzyna będzie zrzędzić.

I odtrąciwszy psa od siebie, puściła się cieniutką ścieżką ku rzece.

Sad był wielki, ale większa połowa drzew była starych, które jednak kwitły obficie i rodziły owoce. Pan chorąży nie wycinał drzew starych, kazał je tylko podpierać starannie, a za to one odwdzięczały mu się, każdej wiosny okrywając się bujnym kwieciami.

Właśnie jabłonie były teraz w kwiecie: mura-wa dokoła zasypana była białymi płatkami, które gdy wiatr powiał, spadały deszczem na ziemię.

Niektóre drzewa, porozdzierane od starości, leżały poziomo, a przechodzeń napotykał w wysokiej trawie różowym kwieciami okryty konar, zaledwie korą połączony z pniem macierzystym, a jednak pełen jeszcze soków żywotnych.

Za to grusze dochodziły do niesłychanych rozmiarów, podobniejsze raczej do dębów niż do drzew owocowych; po pięć, po sześć pni wyrastało z jednego korzenia, a stojąc we dwa rzędy, stanowiło wspaniałą aleję.

Kwitnące gałęzie, wśród których szczebiotały ptaki, tworzyły nad głową łuki i sklepienia; oko tonało wśród otchłani biało-różowego kwiecia

i nie mogło się z niej wydobyć; zdawało się że sad ten niema końca.

Przez liście połyskiwała chwilami rzeka, tworząca w tem miejscu różne skręty i odnogi, a stare, zmurszałe wierzby moczyły w niej swe gałęzie. Po jej powierzchni sunęło parę czółen rybackich, a czasem duża ryba plusnęła w wodzie.

Na wieży kościelnej rozległ się dzwonek — odgłos jego płynął po rosie w dal i odbił się echem, aż w lesie. Dziewczyna, usłyszawszy go, przyklekła i zmówiła Anioł Pański.

Wiosenny poranek budził się świeży, skąpany w rosie i uśmiechał się do ludzi...

Nagle od dworu rozległo się wołanie:

— Magdziu! Magdziu!

Dziewczę pobiegło szybko ku domowi.

U furtki czekała na nią poważna jejmość w białym czepcu.

— Oj, koza z ciebie, koza, — rzekła ujrzawszy Magdzię, — jakże można było tak się zarosić? Urywanie głowy z tą dziewczyną!

— Nie gniewajcie się, pani Katarzyno — mówiła Magdzia pieszczotliwie, — na świecie tak ładnie, że musiałam polecić do sadu, zaraz jak tylko wstałam.

— A pora by już było ustatkować się — odrzekła pani Katarzyna, kiwając głową. — O rok tylko byłam starsza od ciebie, gdy poszła do ołtarza z moim nieboszczykiem...

— Jak tatuńcio kocham tak kiedy ubiorę się w czepiec, będę taką stateczną niewiastą jak pani Katarzyna, ale tymczasem dajcie mi trochę poskakać, — moja serdeczna pani Katarzyno!

— No, no, idź już, bo tam pan chorąży pytał o ciebie, zaraz jak tylko wstał.

W istocie na ganku wspartym na słupach, na którym stały po bokach ławki, ocienione lipami, ukazał się sam pan chorąży, siwy ale jeszcze pełen sił człowiek. Oblicze poważne, o wysokim czole, ozdobione wąsem zawieszistym, zdradzało silną wolę i prawość nieugiętą, a zarazem naturę niecierpliwą i nieznoszącą żadnego oporu. Ubrany był w lekką na głowie czapeczkę i w czarny żupan, który od śmierci żony zawsze nosił.

W młodości wojował pod hetmanem Mieleckim i dotąd jeszcze nosił na czole kresy od szabli wołoskiej; później zostawał czas jakiś w niewoli tatarskiej i dopiero w starszym wieku ożenił się z ubogą, ale piękną i cnotliwą sierotą, pochodzącą z znacznej krwi Herburtów. Żona jednak odumarała go po latach dwunastu, zostawiając dwoje dzieci i męża w głębokim żalu. Magdzia, podobna wielce z twarzy do matki, była ulubienicą ojca, który choć impetyk, dał się jej zawsze ugłaskać, chociażby w największym gniewie.

Co prawda w zarządzie domowym pan chorąży nie więcej posiadał władzy jak król w Rzeczypospolitej, — i Stany koronne, to jest Magdzia z panią Katarzyną robiły co chciały, ale za to w sprawach ważniejszych, gdy o donioslejsze rzeczy chodziło, umiał i on, jak nieboszczyk Stefan pokazać że nie jest „królem malowanym“, a skoro raz objawił głośno swoją wolę, wówczas nikt ani półsłówkiem nieśmiało sprzeciwić się temu. A nie tylko był głową domu, ale i okolicy całej; w ważniejszych wypadkach szlachta ścigała do niego po radę i zdanie, bo tak w prywatnych jak w publicznych sprawach okazywał zawsze zdrowy sąd i prawość; nie zwykł uchylać się od usług obywatelskich, pomimo wieku i trudów poprzednich.

Od pewnego czasu chorąży bardzo jednak się zasepił i chodził wielce zamyślony, jak gdyby mu jaka troska osiadła na duszy. Wszyscy wiedzieli że zamieszki i niezgody w czasie bezkrólewia gryzły go niepomierne, śmierć króla Stefana przypisała go nawet o chorobę, ale prócz tego widocznym było, że miał jeszcze jakieś inne powody do zgryzoty.

Skoro Magdzia ujrzała ojca na ganku, w podskokach pobiegła ku niemu, a całując go w rękę, rzekła, patrząc mu w twarz troskliwie:

— Coś tatuńcio dziś niebardzo zdrowo wygląda... czy może znowu spać nie mógł?

— Ot, różne myśli świdrowały w głowie i sen odbiegł, — rzekł chorąży, machnąwszy ręką. —

*) Do wierszy tych napisał piękną muzykę sir John Stevenson.

Ale za to moja asińdzka świeża jak róża, a zwa-
wa jak młode kozłę.

No, cóż tam, chodziłaś już do gołębi? A Kru-
czek już co jadł?

Widać jednak było że mało dbał o odpowiedź;
chmura wciąż wisiała na jego czole.

— Cóż aśka milczysz?—zapytał po chwili.

— Bo mi się widzi że tatuńcowi nie do gołębi
ani do Kruczka,—odparła Magdzia,—myślę na-
wet, że i Magdzia tatuńcowi zawadza, bo na nią
nie chce spojrzeć,—a przecież pani Katarzyna
powiada, że mi już pora wdziąć czepiec—doda-
ła figlarnie patrząc na ojca.—Ej, wiem ja dobrze,
że coś tatuńcowi na sercu leży...

— Domyśliłaś się, moja dziewczeczko,—sprawy
publiczne leżą mi na sercu, a prócz tego mam
inne jeszcze troski...

— A może jaka zła wiadomość od naszych
chłopców? Może Ignas co znów zbroił?

— Nie, nie, uspokój się, moja Magduś, żadnej
wiadomości nie miałem od nich, ale tem nie mniej
myśl o nich mię trapi.

A czemuż to, tatuńciu?

— Waćpanna mię chwyciła i trzyma jak tata-
rzyn na arkanie.—Ale kiedyś się już tak przy-
czepiła, to ci powiem—trapi mię myśl, że z tych
wszystkich niezgód i zamieszek może wyniknąć
bratobójcza wojna, a wtedy oni mogą stanąć je-
den naprzeciwko drugiego...

Twarz Magdzi na te słowa spoważniała wielce.

— Los tak zrządził—ciągnął dalej chorąży, że
oba znajdują się w przeciwnych obozach; pan
Jazłowiecki bowiem stoi po stronie Zborowskich
i jest zaciekle przeciwnikiem wielkiego het-
mana. Spodziewałem się wprawdzie, że może
w ostatnich czasach zobaczę się z Janem i skło-
nię go, by porzucił dwór starosty śniatyńskiego,
bo przecież nie jest hańbą odstąpić tych, którzy
postępują niesprawiedliwie,—ale jak na biedę
pan Jazłowiecki wciąż bawił na kresach i Jan
nie mógł przybyć w progi domowe,—może choć
teraz, kiedy wszyscy panowie ściągają na elekcyę
i starosta przybędzie tu ze swemi hufcami.

Kto wie jednak czy już tam chłopca nie prze-
ciągnęli na swoją stronę, bo to młody, głupi, łat-
wo go przekonać. A gdy już raz co sobie weź-
mie do głowy, wtedy trudna z nim sprawa. Jam
nie ojciec, więc zmuszać nie mogę, inaczej ka-
załbym i na tem koniec. Lecz choć jestem
stryjem i opiekunem, naznaczonym przez ojca
rodzonego, choć wychowałem go od małego,
jednakże nie mam tych praw co nad własnem
dzieckiem,—powiedziano by jeszcze że jest
tyran.

— Tatuńciu—zawołała Magdzia, a na twarzy
jej odbił się wyraz silnego postanowienia—wie-
cie, że Janek od dziecka może najwięcej słuchał
i ulegał nawet moim kaprysom—choć z innymi
był zawsze hardy i nigdy się nie ugiął—spróbu-
ję, może jeszcze i teraz niestraciłam swej władzy
nad nim.

Chorążemu tęskny uśmiech przemknął po twa-
rzy, bo w tej chwili Magdzia przypomniała mu
żonę.

— Tatuńciu śmieje się ze mnie, że ja takie
dziecko, które się przekonywać w rzeczach, na
których się nie znam i nie rozumiem... Ale ja
wiem jedno tylko, że niemożna dopuścić by owe
szkaradne partye i niezgody publiczne rozdziela-
ły nawet rodziny—wiem tylko, że pragnę zgody
i przywiązania, a o niczem innem słyszeć nie
chcę!

Kiedy tak mówiła, wyraz przekonania który
roziskrzył jej oko, oraz ściągnięta brew i zaci-
śnięte usta robiły ją w tej chwili zadziwiająco
podobną do ojca; pomimo bowiem, że z rysów
twarzy wdała się w matkę, naturę miała ojco-
wską.

— Wcale się nie śmieję, moja dziewczeczko, od-
rzekł chorąży, z miłością patrząc na Magdzię,
która zarumieniona, przestała mówić—przypo-
minasz mi tak bardzo matkę twoją—ona zupeł-
nie miała takie same serce.

Magdzia postąpiła jeszcze chwilę, wreszcie
otarłaś jakoś rezolutnie łzy błyszczące w jej
oczach, pocałowała w rękę chorążego i odeszła,
zostawiając go własnym myślom.

Po południu do dworu przyszedł staruszek
proboszcz, człowiek bardzo świętobliwy i łago-
dny; obaj z chorążym zasiedli w cieniu lip, na
ganku, z kądem widok rozciągał się na rzekę i na
zeleniejące pola, oświetlone ukośnemi promie-
niami słońca.

— No, cóż tam słysząc, mości chorąży?—py-
tał proboszcz, popijając miodek powoli.

Czy prędko rozpocznie się elekcyja?

— A Bóg to razy wiedzieć—odparł chorąży,
machnąwszy ręką.—Złe się dzieje u nas proszę
jegomości, bo prywatnie wszędzie górę bierze,—
nikt nie myśli o dobru pospolitem, tylko o sobie.
Nieraz to się tak człeku gorzko na duszy uczyni,
że już byś rad umrzeć, aby nie patrzeć na
onych gwałcicieli i sprzedawczyków, co ten kraj
do zguby wiodą...

Proboszcz słuchając słów tych, kiwał głową
w milczeniu. Wreszcie ozwał się półgłosem:

— No, a o waszym synowcu nic nie wiecie?

— Toć to mię najwięcej trapi, mój jegomość;
ten chłopiec wciąż mi stoi na myśli i w dzień
i w nocy. Sam sobie teraz nie mogę darować
że mu pozwoliłem związać się ze starostą śnia-
tyńskim, ale człowiek nigdy nie może zgadnąć,
co los zdarzy. Czyż podobno było spodziewać
się że pan Jazłowiecki, znający względem he-
tmana obowiązki wdzięczności, teraz stanie jako
wróg przeciwno niemu?

— Prawdę mówicie, mości chorąży, kto mógł
się spodziewać tego?

— Z drugiej strony nieraz sobie wyrzucam,
że bywałem może dla tego chłopaka zbyt suro-
wym,—ciągnął dalej chorąży frasobliwie. — Ale
wy sami wiecie jaka burzliwa krew w nim pły-
nie,—czym jest synem,—dodał półgłosem. —
Musiałem hamować jego naturę, by się nie zmar-
nował, tak jak jego ojciec. Powiedzcie sami,
księżę proboszczu, czy mogłem postępować ina-
czej, kiedy mi wciąż stał przed oczami przykład
mego brata stryjecznego, którego błąd przy-
niósł mi tyle zgryzot. A tamten ma zupeł-
nie naturę ojcowską,—tak samo jak on jest niepo-
hamowanym, gwałtownym i boję się, by go to
niezaprowadziło na manowce. To też, chociaż
Bóg widzi, że go miłuję jak rodzzonego syna, je-
dnak zawsze starałem się surowem postępowan-
iem przytłumić skłonności uspijone jeszcze, ale
gotowe do przebudzenia.

— Nie, nie, nie możecie sobie nic wyrzucać,
mości chorąży,—odrzekł proboszcz,—wszak
wszyscy wiedzą, że niemniej byliście surowi dla
własnego syna.

— Tak, nie robiłem żadnej różnicy między ni-
mi oboma i starałem się wiernie spełniać obo-
wiązki opiekuna, jakie jego ojciec na mnie wło-
żył, wtedy, kiedy po śmierci żony wpadł w taką
rozpaczę, że chciał do klasztoru wstępować,—
czego szkoda, że nie zrobił, wówczas, bo nie
byłby później wdawał się w owe nieszczęsne
spiski ze Zborowskimi...

— Powiedzcie mi, panie chorąży co go skło-
niło żeby się udać na dwór Zborowskich, czy ja-
kie dawne relacje rodzinne, czyli co innego?—
spytał proboszcz.

— Nie zbyt ja chętnie zawsze mówię o tych
rzeczach, gdyż nadto mię boją, ale kiedy ję-
gomość chcesz koniecznie, to opowiem jak było.
Mój brat stryjeczny, starosta zakroczyński
jeszcze przez ojca swego miał jakoweś relacje
ze Zborowskimi a że był zawsze człkiem gwał-
townych uczuć i zwykł był przerzucać się z je-
dnej ostateczności w drugą, więc i wtedy, po
śmierci żony, skoro mu wywietrzało z głowy za-
miar zostania mnichem, opuścił klasztor i udał
się do pana Samuela Zborowskiego, który wła-
śnie wtedy wybierał się na Niż i tam niebawem
został hetmanem. Długo nie było słyhać
o moim bracie i sądziliśmy wszyscy, że już gdzie
zginął w czasie onej wyprawy na Wołoszczyznę,
którą przedsięwziął pan Samuel, aż znów rodzi-
na zasiłowała o nim, ale w sposób, który co pra-
wda, nie mógł uciechyć jej wcale. Powodowany
przyjaźnią dla domu Zborowskich oraz osobi-
stemi jakimiś przyczynami dał się wciągnąć do
spisku, który ten niespokojny ród uknuł prze-
ciwko królowi Stefanowi. Wiecie już co się da-
lej stało. Został objęty wyrokiem banicyi, jaki

został wydany na Krzysztofa Zborowskiego, to-
warzyszył mu na wygnanie, i umarł w Ołomuń-
cu, pierwszej jednak zasmuciwszy rodzinę nową
wieścią o przyjęciu heretyckich nowinek...

— Czy syn wie o tem wszystkim?

— Jakże, miałem mu mówić o występkach oj-
ca? Było by to zbyt bolesnem i dla mnie i dla
niego; niech lepiej nie wie o tem jak najdłużej.

— Macie słusność, panie chorąży, lepiej
niech niewie o tem, że ojciec był dysydem, przy-
kład bowiem taki mógłby zaraźliwie wpły-
nąć na syna.

— No, o to chyba niema obawy, wychował się
bowiem pod okiem mojej żony,—świeć Panie
nad jej duszą,—a jegomość sam wiesz, jaka to
była zacna i pobożna niewiasta.

— Wiem, wiem, niech jej Bóg daje niebo,—
odrzekł proboszcz.

Obaj umilkli i zamyśliли się nad czemś głę-
boko.

III.

Magdzia tymczasem wybiegłszy do sadu,
wdała się na wał go otaczający i przysłoniwszy
oczy ręką, patrzyła na gościniec idący od Przed-
borza. Niewytłomaczone przecucie jej mówi-
ło, że dziś przybędzie któryś z „jej chłopców“
jak w duchu nazywała obu swych braci, rodzo-
nego i stryjecznego. Słońce już połową ogni-
stej tarczy zapadło na widnokręgu; dalekie pola
w migotliwym blasku zachodu barwiły się, jak
koberce tureckie, w różnobarwne, złotem prze-
tykane wzory. Od lasu dochodziło wołanie ku-
kułki.

Wkrótce na gościncu ukazał się tuman kurzu,
widocznie z pod kopyt wierzchowca,—niebawem
zaś i sam jeździec ukazał się na zakręcie
drogi.

— Ignas!—zawołała Magdzia radośnie i chcia-
ła zbiedz z wału, by dostać się na gościniec, lecz
tu zatrzymała ją głęboka, wodą napelniona fosa.
Stała więc, nie wiedząc co czynić, gdy jeź-
dziec, który widocznie krzyk usłyszał, przybli-
żył się pędem a ujrawszy Magdzię, zawołał,
śmiejąc się:

— A co, chciałaby dusza do rajku?

— Ignasiu, przesadz mię na drugą stronę!—
prosiła Magdzia brata.

Pan Ignacy zsiadł z konia i dopomógł siostrze
do przejścia przez fosę, poczem ona rzuciła mu
się na szyję, wołając:

— Mój Ignasiu, mój serdeczny, jak to dobrze
żeś przyjechał! A ja już tak wyglądałam ciebie!

Szli drogą obok siebie; koń pana Ignacego
postępował za nimi, szczypiąc trawę na go-
ścińcu.

— Twój kasztanek mię poznał—pocziwy ko-
nik,—rzekła Magdzia, klepiąc po szyi wierzcho-
wca.

— Ale, ale,—ozwał się pan Ignacy, patrząc
na Magdzię z winnym respektem,—muszę
oświadczyć pannie Magdalenie, że bardzo wy-
ładniała od pół roku, jak ją ostatni raz widzia-
łem...

— Wielce jestem wdzięczną panu Ignacemu
za pochwałę,—odrzekła Magdzia, dygając,—
przykro mi tylko, że niemogę mu odpłacić tem
samem, ale ta szrama od szabli na czole wcale
go nie zdobi.

— Waćpanna nie znasz się na tem co jest
prawdziwą ozdobą męża,—odrzekł pan Igna-
cy.—Cóż bardziej upiększa nad te podarunki
Bellony, to jest owe cięcia, otrzymane na wo-
jence lub pojedynku.

— Chciałabym widzieć o co to już znów się
pojedynkowałyś?

— Za pozwoleniem, to już nie jest rzecz wać-
panny,—odparł pan Ignacy.—A cóż tam u was
słyhać? Jak się ma ojciec?

— Zdrow, dzięki Bogu, ale się martwi spra-
wami publicznymi.

— A czy Jan niebył u was?

— Właśnie chciałam cię zapytać czy niewiesz
czego o nim?—odrzekła Magdzia. W domu nie
był już od bardzo dawna.

— Widziałem się z nim w Krakowie, niedługo po sejmie konwokacyjnym,—nie będę powtarzał cośmy z sobą mówili, dość, że rozstaliśmy się z sobą w niezgodzie.

— Jak to, dlaczego?—zawołała Magdzia.

— Jazłowiecki ze Zborowskimi zupełnie przerwóci mu w głowie, niechce widzieć po czyjej stronie stronie stoi słuszość;—machnął ręką,—słowem niema z nim co gadać nawet!

— O, to nie może być!—zawołała Magdzia,—on musi dać się przekonać. Jestem pewna, że przestrogi ojca, że moje prośby...

— Moja biedna Magdziu, na nic to się nie zdało, nie skłonicie go do niczego, bo gdy przejmie się jaką myślą, jest uparty jak kozioł. Oni mi wytłumaczyli, że zbawienie kraju zależy na tem, by tam który z tych Rakuszanów został naszym królem. Co z nim poczniesz?

Magdzia pochylała głowę i oboje postępowali dalej w milczeniu.

Wkrótce znaleźli się na dziedzińcu.

— A waść, panie Ignacy, z kąd się tu wziąłeś? Czyś spadł z obłoków?

— Otrzymałem pozwolenie od hetmana, miły ojcze i przybyłem na dni kilka, by was nawiedzić, bo potem ruszamy całym dworem na elekcyę,—odrzekł pan Ignacy witając z uszanowaniem ojca i proboszcza. — A oto list starosty przemyskiego do was, — dodał, wyciągając list z zanadru i podając chorążemu.

— Dobrze, dobrze,—odrzekł chorąży, biorąc list.—Bardzo mi rad, że cię widzę synu, bo kto wie jak prędko się znów ujrzym w teraźniejszych ciężkich czasach?

Tymczasem nadszedł służący, by zabrać konia do stajni, zanim zbiegła się reszta domowników, przed wszystkimi zaś biegła wczepcu na bakier z lyżką w ręką, czerwona jak piwonia, pani Katarzyna.

— A słowo stało się ciałem! — wołała, ręce wznosząc do góry,—ja przecież słyszałam dobrze, że psy ujadają na dziedzińcu i posyłam Maryskę, by zobaczyła co to takiego a ta leniuch dziewczka nawet niezajrzała i powiada: „To Wólko arendarz.“

— Pani Katarzyno, — rzekł chorąży poważnie,—nie czas teraz rozbierać przywary Maryski, bo by nas to zbyt długo zatrzymało, a lepiej zajmijcie się, by coby prędzej podano wieczerzę...

— Jezus Marya! mówicie tak panie chorąży, jakbym to ja była jaka głupia i niewiedząca, że trza wcześniej podać posiłek, gdy kto z drogi przyjechał. Nie minie i trzy pacierze, a wszystko będzie gotowe;—przyszłam właśnie z kuchni i...

— Przyszedł, przywitał go i bardzo dobrze, a teraz, do odwrotu! to jest: napowrót do kuchni!

Pani Katarzyna odeszła mrucząc a stary proboszcz śmiał się i zacierał ręce.

— Wy, panie chorąży, zawsze tak wyglądacie jakbyście sprawiali hufce na polu bitwy,—mówił, podczas gdy pan Ignacy stał, czekając, czy ojciec go o co nie zapyta.

Chorąży w istocie zaczął go wypytywać o nowiny publiczne, poczem zabrał się do czytania listu.

Pan Ignacy tymczasem rozmawiał z proboszczem na boku.

— No, jakże, co słyhać? Czy Zborowscy zawsze tak wicherzą?—pytał proboszcz.

— Oni? Z każdym dniem przybywa im zuchwastwa. Wicie, księżo proboszczu, że na sejmie konwokacyjnym chcieli zabić pana Żółkiewskiego, posła ziemi bełskiej?

Proboszcz podniósł w górę ręce ze zgrozy.

— Ot, do czego już dochodzi!—mówił, kiwając głową.

— Pan hetman nie był na konwokacji, przezwijając co się tam dzieć będzie,—ciągnął dalej pan Ignacy, to też i ja nie byłem świadkiem tych wszystkich zatargów, ale ci co się tam znajdowali, opowiadali mi, jak pan Czarnkowski krzyczał na hetmana za to, że niedano panu Jazłowieckiemu buławy polnej i jak dworzanin Zborowskich chciał strzelić do pana Leśniowskiego. Książd arcybiskup lwowski znów tak

się kłócił z dysydentami, którzy zaczęli przedrzwiać z duchowieństwa katolickiego, że aż rozdarł szaty na sobie i rzucił kaptur z mućtem aż na środek sali *), poczem rozgniewany wyszedł z senatu, nie chcąc podpisać aktu konwokacji. Dopiero biskup Goślicki, uproszony przez stany podpisał się, mówiąc: „Dla dobra pokoju.“

— Panie Ignacy,—ozwał się nagle chorąży,—a zbliż-no się waść tutaj!

— Oj, źle,—pomyślał pan Ignacy,—musiał starosta przemyski coś napisać! Będzie bieda!

— A co to mi starosta pisze o jakimś pojedynku z wojewodzielem warszawskim? — spytał chorąży, podnosząc oczy od listu.

— Oho, nie mówiłem, że będzie bieda! — pomyślał pan Ignacy. — Trzeba będzie wylegitymować się z przyczyn przed ojcem. I dodał głośno:

— To właściwie... poszło nam o chana Krymskiego.

— Hm, hm,—mruknął chorąży, patrząc nań z pod brwi.—A któryż to z waszmościów został obrońcą honoru jego chańskiej mości? Może ty? Nie wiedziałem, że pałasz do niego takim afektem...

— Tak... to jest, nie, chciałem powiedzieć,—jąkał się pan Ignacy, a w duchu myślał:—Przekłety pan Drohojowski, trzeba mu było pisać o tem!

— Gdzież wielki hetman obecnie się znajduje?—spytał chorąży.

— W Krakowie, ojcze, — rzekł spieszenie pan Ignacy, rad że sprawa o chana krymskiego tak prędko się skończyła. — I ja też prosto ztamtąd jadę.

— Aha, dobrze; cóż tam więcej de publicis?—pytał dalej chorąży, list składając.

— Z tureckiej ziemi przybył Sinun-basza, poseł, który oświadczył stanom by tylko za zgodą sułtana króla obierały...

— Ot, doczego doprowadziły niezgody! Bismurmanie chcą u nas rządzić jak u siebie w domu! Cóż stany odpowiedziały?

— Odrzekły, że jak po wsze czasy, tylko natęgnięciem Boga i własną wolą kierować się będą,—to też poseł nieśmiało dalej nalegać. Posłowie cesarza Rudolfa także przybyli z kondolencją do królowej Anny.

— A w rzeczy samej aby intrygować na korzyść swego pana, — dokończył chorąży. — Nie mało pewnie pieniędzy rakuckich rozbiegło się po kraju.

— Kardynał Batory znajduje się obecnie w Miechowie,—ciągnął dalej pan Ignacy,—i Zborowscy podnieśli wielkie larum z tego powodu, upatrując w tem straszne niebezpieczeństwo dla swobód narodowych.

— Największym niebezpieczeństwem są tacy, jak oni, wicherzyciele,—zawołał chorąży. — Oby nam Bóg dał coby prędzej pana, któryby wzorem króla Stefana, ukrócił owych zuchwalców, inaczey kraj cały rozniosą w strzępy! Niech Bóg niepamięta memu bratu, starości zakroczymskiemu, że się wdawał w praktyki ze Zborowskimi, ale każdego, ktoby w obecnej chwili z nimi trzymał, uważałbym za infamisa, za zdrajcę torującego przemożnym wicherzycielom drogę do nowych gwałtów i bezpraw!

Wielce się zapalił pan chorąży, mówiąc to i ścigał ręką do boku, jakby szukając korda, lecz po chwili począł mówić spokojniej.

— Na jednym wielkim hetmanie stoi teraz wszystko, on jest sternikiem nawy Rzeczypospolitej, która przez głupców i wicherzycieli snadno mogłaby być zagnana na mielizny. Ale bieda, że u nas nikt nie chce słuchać jednego, a każdy chciałby swoim rozumem się rządzić.

Proboszcz wciąż tylko kiwał głową potakując, ale nic się nie odzywał. Magdzia zaś, gdy ojciec wygłosił zdanie, że każdego stronnika Zborowskich uważać będzie za zdrajcę i infamisa, pobladła mocno i spojrzała błagalnie na chorążego, który jednak wcale na to spojrzenie

nie zwrócił uwagi i nagle, podnosząc się z ławy, rzekł:

— No, ale dość tego, teraz pójdźmy na wieczerzę! Księżo proboszczu, wszak zostaniecie z nami na wieczerzy, nieprawdaż?

I wzięwszy proboszcza pod ramię, powiódł go do komnaty.

(Dalszy ciąg nastąpi)

POEZYJE.

I.

SELIM (Władysław Bukowiński)

Z MARZENI I ŻYCIA. Warszawa, 1898.

Pytali mnie nieraz czytelnicy Bluszczu; „Kto to jest Selim?“ Odpowiadałam ogólnikowo: poeta! Wiedziałam sama niewiele, wiedziałam tyle, że jest od dość dawna uprzejmym współpracownikiem naszego pisma, że poezye jego zawsze przez nasze sesye przechodziły jak rzucana wiązka kwiatów, nad którą nie ma innej rozprawy jeno ogólne zdanie: że te kwiaty są świeże i ładne, więc je trzeba ludziom dać i nowych czekać. Dziś, nie czekając aby mnie czytelnicy „Bluszczu“ znów pytali: „Kto jest Selim?“ mogę im sama coś więcej o nim powiedzieć i spieszę, podzielić się właśnie wrażeniem jakie na mnie uczynił pierwszy tom młodego poety. „Marzenia“ starły się z „życiem“, jedne doznały bolesnego rozbicia, inne się wyjaśniły, inne stały się zrozumialsze dla samego autora, inne znów, te mianowicie, które noszą w sobie zaród wielkich ideałów, nie dały się życiu ani rozbić ani podkopać, lecz pozostały na swych podobłocznych tronach panujące i wszechwładne nad sercem człowieka i duchem poety. Selim nie chciał być „jednym z tych, którzy po ziemi „pełzają jak nędzne gadziny, dążąc przez całe „życie do marnego celu,“ więc wołał przecierpieć burzę różnych uczuć i rozterek w młodością wezbranej piersi, i pod strażą najpotężniejszego anioła — miłości, przetrwać co było trudnem, i z podniesionem czołem iść dalej:

Z bardzo ujmującą szczerością mówi poeta o swych trudnych przejściach psychicznych, o ciernistej drodze, którą przejść musiał i o tem zrównoważeniu się w nim podniebnych porywów z konieczną miarą życia, a widząc się „U celu“ swej pracy, szczęścia i obowiązków, mówi:

Duch mój w przestrzeń dziś nie wzlata
Gdzieś na krańce tego świata,
Lecz nie pełza też po ziemi
Uczuciami, snami swemi,
Nie ostygło serce w łonie,
Nie skarłały życia cele,
Dawny zapal w pieśni płonie
Kocham, marzę, pragnę wiele.
Kwiat miłości zakwitł złoty
Wśród mojego życia niwy,
Nie umieram już z tęsknoty
I nie jestem nieszczęśliwy.

W całym tomiku niema tej przykrej, sceptycznej szarpaniny uczuć, skarżących się wiecznie, a niezawsze artystycznie, na wszystko i wszystkich, na bogi i ludzi, czasy i stosunki; owszem, jest walka, ale są i siły, jest cel, dążenie, i pomimo owego śladu „lży anioła stróża,“ która pocie w duszę wpadła, jest wiosenna pogoda w tej duszy, jest słońce w którego świetle dojrzewać będzie dalsza pieśń, dalszy talentu rozwój i siła. Formę, obrał sobie Selim przeważnie liryczną, choć te utwory, które z natury rzeczy wypadły epicznie, są może jedne z najlepszych pod względem języka i dokładności rytmicznej. Znac

*) Historyczne.

jeszcze często tu i tam wpływ wielkich Mistrzów, na których poeta się urabiał. Na początek to nie wada, lecz całkiem logiczne przejście się pierwowzorami sztuki mianowicie liryką Asnyka. Tak ongi Szekspira naśladował w początkach swej pracy Słowacki, Słowackiego Ely, Elego—Selim. Jest to drabina Jakóbowa, po której się z ziemi wstępuje do niebios i z niebios wraca na ziemię. Jednakowoż z czasem, gdy się nabiera osobistego typu, wyosabniać się należy ze wszelkiej choćby najwyższej szkoły, bo zawsze lepiej być sobą niż nawet pierwszym uczniem innych.

Ładne wydanie i staranna korekta są zewnętrznymi przymiotami tej sympatycznej książki, którą gdy przeczytacie nie będziecie już nikogo pytali: kto jest Selim? bo odpowiedź na to czem jest jego dusza, przekonania i ideały znajdziecie na tych młodzieńczych kartkach, świeżych i szczerych, prostych a wdzięcznych jak polne kwiaty z wioski rodzinnej poety z której wywędrował ze swojemi „skrzypkami lipowemi” na pociechę ludziom, a sobie na poety los.

Szczęsna.

Ruch niewieści w Niemczech.

(NOTATKA HISTORYCZNA).

Kwestya równouprawnienia społecznego i naukowego kobiet, tak żywo poruszająca Europę, niesłusznie przypisywana bywa prądom ostatnich czasów. Krew, wylana przez wielką rewolucję francuską, w obronie idei wolności, drogą każdemu sercu ludzkiemu, stała się owym posiewem, z ziarn którego zrodziło się pierwsze pojęcie prawnej emancypacji niewieściej. Nie dzisiejsze więc czasy, lecz koniec XVIII-go wieku wpoił w kobietę niezależność, a pozbawił ogniska domowego i węzłów rodzinnych, poczucie równości i godności człowieczej, oraz, wynikającą z niego, potrzebę pracy na chleb i stanowisko w społeczeństwie.

Ta praca jednak, dla pożytku i rozwoju swego, wymagała zniesienia wielu ograniczeń, ustalonych kodeksem praw i obyczajów towarzyskich, a krępujących niezawisłość kobiety na każdym kroku. Ztąd propaganda emancypacyjna, zważna „ruchem niewieścim”, którą obarczamy najnieśluszniej, jakby zbrodnią jaką, schyłek kończącego się wieku. Winą jego bowiem jest ten fakt tylko, że iskrę, rzuconą przez takie bojowniczkę, jak, prababka feminizmu, „Marya Wollstonecraft, w Anglii, rozdmuchał w płomień wielki. Przy blasku jego, inteligentna, a szlachetna część społeczeństw europejskich, przeczytała prawdę, oddawna na dnie duszy skrywaną, że prawo do wiedzy, do światła i pracy, prawo do wolnego wyboru zawodu i stanowiska w życiu, oraz zupełne, pod tym względem, zrównanie wobec ustaw państwowych, jest tu jedyną drogą, odpowiadającą przeznaczeniu i godności człowieka. „Czem szerszą bowiem będzie podstawa etycznej wolności pojedynczych osobników, czem silniej bronięte będą osobiste ich prawa przez społeczeństwo i państwo, tem mocniej osobnik taki będzie się czuł związany z ogółem, tem gorliwiej będzie spełniał obowiązki swe względem kraju i narodu, które go wydały.”

Takimi wymownymi, a niepozbawionymi słuszności słowami, przemawia do nas p. Lina Morgenstern, nestorka ruchu niewieściego w Niemczech, we wstępie do dwutomowego swego dzieła, poświęconego historii i rozwojowi pracy kobiecej, w germańskiej jej ojczyźnie. *Geschichte der deutschen Frauenbewegung und Statistik der Frauenarbeit, auf allen ihre zugaenglichen Gebieten, in Deutschland*.

Bardzo obszerne, a gruntowne to dzieło, owoc wytrwałej pracy całego szeregu ankiet, sekcji wywiadowczych, komitetów i podkomitetów, zasługujące na specjalną ocenę i streszczenie. Bo-

gactwo jednak materiału, jaki przynosi, jest tak różnorodnem, iż, wobec braku miejsca, musimy poprzestać, na zaznaczeniu kilku rysami, historycznej części jedynie.

Stwierdzając, iż losy ludzkości zależą od wychowania przyszłych pokoleń, a wychowanie to od umysłowego i moralnego rozwoju kobiety, autorka dochodzi do wniosku, że stanowisko, wyznaczone niewieście w dzisiejszym społeczeństwie jest miarą cywilizacyjnego rozwoju danego kraju. Im wyższa kultura, tem szersze i głębsze widnokreśli naukowe, roztaczane przed umysłem żony i matki, tem większa niezależność i swoboda w wyborze zawodu, kobiety pracującej.

Zastrzeżenie to zrozumiemy z łatwością, gdy, rzuciwszy okiem na cyfry, spostrzeżemy, iż Niemcy posiadają 1,909,530 wdów, a 5,477,730 kobiet samotnych. Jedne jak drugie, o bycie swym, przyszłości i stanowisku same myśleć muszą.

Liczbę tę poczerpniętą są ze spisu ludności, dokonanego przed piętnastu laty. Słusznie też przypuszcza autorka, iż dziś cyfra kobiet samotnych, pozbawionych opieki, podpory a często dachu i chleba, dosięga pewno 6,000,000 dusz.

Sześć milionów, to legion. to armia. Sześć milionów, to ludność sporego kraju. Czy można więc lekceważyć te zastępy, czy można wydziedziczoną moralnie i materialnie, dachu często pozbawioną, rzucać jakby na szyderstwo aksyomat, iż kobieta stworzoną została na żonę, matkę i panią domu. Ależ i owszem, — woła sędziwa nestorka ruchu niewieściego — dajcie jej ów dom, a skwituje ona pewno z ciężkiej pracy w biurze, fabryce, lub przy rękoźmielnictwym warsztacie. Nikt się nie wyrzeka dobrowolnie radości moralnej i zabezpieczonego bytu dla niepewnego, a znojnego jutra.

Przytaczamy umyślnie te słowa, gdyż dadzą się one doskonale zastosować i u nas, a zarazem stanowią odpowiedź dla wszystkich zaciętych przeciwników pracy niewieściej.

Nie lękajcie się, — dodaje p. Morgenstern — aby zawodowe wykształcenie kobiety, oderwało ją od ogniska rodzinnego.

Frazes to, w który nikt w gruncie nie wierzy. Jeżeli bowiem natrafi ona na człowieka, któremu będzie mogła z ufnością przyszłość swą powierzyć, z pewnością albo wyrzeknie się dla niego zajęć swych fachowych, lub też zużyje je ku wspólnemu podtrzymaniu bytu i rodziny. Przede wszystkim, zaś, świadomość własnej siły i samoistności, na pracy opartej, umoralni ją, uszlachetni i pozwoli iść za głosem serca. Jedyna to rękoźmia przeciw sprzedajności i tej hańbie niewieściej, jakiej dopuszcza się dziś wiele kobiet ubogich, idąc za pierwszego lepszego, wstrętnego sobie nieraz człowieka, byle tylko „pierwszy lepszy” do śmierci żywił ją i okrywał.

I dlatego to kobiety niemieckie walczą już od lat stu, o równouprawnienie naukowe przede wszystkim, o prawo do samoistnego rozwoju ducha. Na drogę tę pchnął je — jak twierdzi prapodownik owego ruchu — najpierw Jan-Jakób Rousseau, a później Pestalozzi. „Wychowanie ludu powinno leżeć w rękach kobiet — mówił ten ostatni. — Gdzie dom nie jest świątynią Bożą, w której matka myśla swą ożywia i kształci, zarówno serca jak głowy dzieci, tam niemożliwym jest przeprowadzenie jakichkolwiek reform społecznych.”

Wpływ Pestalozzi'ego na szkoły i nauczycielki był tak znacznym, iż odtąd zaczyna się w Niemczech reforma wychowania dziewcząt. Pierwsza Karolina Rudolphi, zmarła w 1811 roku, píše bardzo rozpowszechnioną książkę, pod tytułem: *Obrazy wykształcenia niewieściego*, w której stawia za zasadę swobodny rozwój indywidualizmu i nakazuje między innemi: „Pozwólcie dzieciom waszym wyrastać na samodzielną ludzi; nie przeszkadzajcie im w tem, lecz przeciwnie, dopomóżcie, kształć wszelkie wrodzone ich zdolności i przymioty. Niech ani duch ich, ani ciało nie osłabia się w powietrzu cieplarnianem, bo tylko świeża i czysta atmosfera życio-

wa siłę im zapewni. Prawda to niezbita po wsze czasy, dla obu płci, i wszelkich stanów.”

Posiew ów, został rzucony na żyzną widać glebę, bo szybko zaczął kielkować. Już w 1810 roku, żona przedstawiciela pedagogii, Betty Gleim, wydała książkę, w której cel pedagogii i stanowisko kobiety, w następujących określa słowach:

„Każda dziewczynka powinna być wychowywana, najwypierw na człowieka, następnie na kobietę a wreszcie na obywatelkę swego kraju. Bez gruntownego wykształcenia umysłowego i estetycznego nie może być mowy o wyższym rozwoju moralnym; ztąd też nie powinno zbywać kobiecie na żadnym z trzech działów pomienionych. Wzorowa małżonka musi sobie przyswoić: rozległe poglądy, delikatność, łagodność, hołd i wdzięk w obejściu. Na matkę nadaje się tylko istota, wykształcona: duchowo, umysłowo, obyczajowo i religijnie; jako gospodyni powinna posiadać: wyćwiczony zdrowy rozsądek, oraz gruntowną znajomość wszystkich przedmiotów, w zakresie gospodarstwa domowego wchodzących. Ze względu wreszcie, iż każda dziewczynka może nie wyjść zamaż, należałoby, na wzór chłopów, przygotować ją i przyuczać do pracy zawodowej, która, dając jej utrzymanie, pozwoliłaby wieść życie uczciwie, odpowiednio poczuciu godności człowieczej.

Szlachetny ten program nie został niestety w czyn wprowadzony. Następna więc bojowniczka, nie wychowaniu już lecz reformie dobroczynności poświęca swoje życie.

Imię Amalii Siereking, dziś, po upływie kilkunastu lat, z wdzięcznością jeszcze wspomniane jest w rodzinnym jej Hamburgu. Dobroczynność była tam dawniej zadaniem klasztorów jedynie. Amalia Siereking, siejąc ziarna jej pełną dłonią, zakładając szpitale, przytulki i stowarzyszenia opieki nad ubogimi, nauczyła kobiety niemieckie, iż nędza i niedola powinny przemawiać do każdego sumienia.

Dni pogromu rzuconego na Niemcy przez armię Napoleona, zwracają myśli obywateli niemieckich ku uczuciom patryotyzmu jedynie. Zapal ich jest tak wielkim, iż Eleonora Prochaska idzie walczyć w szeregach obrońców ojczyzny.

Upadek olbrzyma zwraca egzaltację tę w innym kierunku. Cały szereg kobiet chwyta za pióro, a wśród nich wślawia się najbardziej Annette von Droste-Hülshoff, której pieśń *Das befreite Deutschland*, obiega od 1814 roku Niemcy całe.

Właściwa jednak walka o byt, o chleb, o życie, miała wybuchnąć w 60 lat później dopiero.

Jak w całej Europie, tak i na obszarach Germanii, hasłem, poruszającym umysły, stało się wiekopomne dzieło Johna Stuarta Milla, p. t. „Poddaństwo kobiet.” Prysnęło bielmo z oczów ogółu i zrozumiano nareszcie, iż kobieta ma prawo do wyzyskania swych zdolności i pracy w ich kierunku, bez popełnienia zdrady względem ideału rodziny lub wyjątkowych przywilejów mężczyzny.

Stowarzyszenia też niewieście, zawiązywane po 1848 r. nie mają już na celu dzieł miłosierdzia jedynie, lecz dążą jawnie do oswobodzenia kobiety od dawnych uprzedzeń i formułek.

Pierwszy związek niewieści, ku propagowaniu nauki Froebel'a, powstaje w Hamburgu; w ślad zaś za reformą wychowania elementarnego, założone tam zostają wyższe szkoły dla dziewcząt. Rząd atoli, przerażony tym prądem, zamyka nietylko owe „wyższe szkoły,” ale i ogródki froebelskie dla dzieci.

Kwestya kobieca jednak, raz poruszona, nie dała się już zdusić i unicestwić. Dopomagali do rozdmuchania jej mężczyźni sami, w broszurach i pismach podręcznych, w których powołując się na prawa przyrody, wskazywali, iż jedynym właściwym dla kobiety stanowiskiem, jest godność małżonki i matki.

Zapominali o owych sześciu milionach istot samotnych, którym natura z góry godności tej odmówiła.

Pierwszą, która ośmieliła się wziąć udział w politycznym życiu swojej ojczyzny, była Ludwika Otto.

Założyła ona w 1848 r. pismo zatytułowane: „Nowe drogi“ (*Neue Bahnen*), w którym, pod dewizą: *Dem Reich der Freiheit werbe ich Bürgerinnen*, (Państwu wolności jednam współobywatelki), zaczęła walczyć o swobody polityczne dla kobiet.

Była to próbna placówka. Drugą zajęła równocześnie prawie Ludwika Büchner, w Darmstadt'zie, walcząc o prawo do pracy zawodowej. Rozgłosna jej książka, zatytułowana: „Kobieta i jej powołanie“, dowodziła, że dotychczasowe wychowanie i zapas wiedzy udzielany dziewczętom, jest niewystarczającym. Bo jakżeż te przyszłe matki będą rozwijać z czasem w synach swych i córkach, zmysł do wszystkiego co piękne i szlachetne, miłość dla sztuki i wiedzy, gdy wiedzy tej, która pozostaje dla nich księgą zamkniętą, same nie zdołały ukochać.

Ta sama Ludwika Büchner zdołała, w dieście lat później, tak żywo zainteresować dla sprawy niewieściej, Alicję, wielką księżną Heską (matkę dzisiejszej Cesarzowej Rosyi, a córkę królowej angielskiej, Wiktorii), iż wspólnie z nią założyła w 1867 r. *Aliceverein*, związek, mający na celu rozszerzenie wykształcenia naukowego oraz fachowego uzdolnienia kobiet (*Aliceverein für Frauenbildung und Erwerb*).

W 1859 r. z inicjatywy „Centralnego Związku dla dobra klas pracujących“, powstaje w Berlinie stowarzyszenie niewieście, któremu udaje się, dzięki zabiegom Berty von Marenholtz-Bülów, znieść zakaz rządu, dotyczący ogródków froeblovskich. Od tej pory rozwój wychowania elementarnego przyspieszonym idzie krokiem, wraz z nim zaś, podnosi coraz śmielej głowę, walka o zupełne uprawnienie naukowe kobiet.

W 1865 r. powstaje w Lipsku pod przewodnictwem pani Ludwiki Otto Peters i panny Augusty Schmidt, rozgłosny dziś *Frauenbildungsverein*, który, dzięki tym wytrwałym bojowniczkom wykształcenia niewieściego, obejmuje stopniowo Niemcy całe, gęstą siecią związków pomocniczych.

Obu też powyższym działaczkom należy się zaszczyt założenia „Powszechnego stowarzyszenia kobiet niewieściech“. Zadaniem jego jest: 1) Propagowanie wyższego wykształcenia, 2) Zniesienie przeszkód dla zawodowej niewieściej pracy, 3) Otwieranie szkół, poświęconych: fachowemu wszechstronnemu i arystokratycznemu nauczaniu dziewcząt. Organem związku stał się wspomniany już dwutygodnik: *Neue Bahnen*, który zostaje do dnia dzisiejszego pod redakcją Ludwiki Otto i Augusty Schmidt.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z AMERYKI.

New-York w końcu Grudnia.

Jedną z najważniejszych kwestyi ostatniej doby, mogącą mieć bardzo doniosłe znaczenie dla zamieszkującego nowy świat żywiołu słowiańskiego jest odbyty tu przed niedawnym czasem w Cleveland w stanie Ohio zjazd dziennikarzy słowiańskich. Niestety, jak się to u nas zwykle dzieje, rzecz sama bardzo pożyteczna rozbiła się o nieodpowiednie jej wykonanie. A prasa słowiańska w Stanach Zjednoczonych jest już dziś dosyć silną i znalazłaby niezawodnie bardzo wiele spraw żywo obchodzących cały ogół słowiański. Prasa ta reprezentująca trzy do czterech milionów polaków, Czechów, Słowaków i Rusinów liczy w swoich szeregach około stu mniej lub więcej wybitnych pism lub pismek, a mianowicie 30 z górą polskich, 35 cze-

skich (z tych 5 codziennych), kilkanaście słowackich i kilka rusińskich.

Na zapowiadany zjazd przybyło do Cleveland 17 zaledwie przedstawicieli prasy słowiańskiej, a mianowicie 9 dziennikarzy słowackich, 5 czeskich i 3 polskich; pisma rusińskie i rosyjskie nie przysłały wcale reprezentantów. Rzecz więc prosta, że wobec tak szczupłej liczby pracowników pióra zjazd ten nie mógł mieć tej doniosłości, jakiej po nim oczekiwano i że uważać go należy w tych warunkach za projekt zupełnie chybiony.

Przyczyny tego niepowodzenia szukać należy w tem, że zjazd zwołany został zbyt niespodzianie, bez uprzedniego porozumienia się i co ważniejsza, że inicjatywę do niego dała osobistość niezbyt wielkiej w tutejszym świecie dziennikarskim używająca sympatii. Najważniejsze pisma polskie i czeskie odmówiły udziału w zjeździe zainicjowanym przez redaktora „Amer. Słowenskich Novin“, „wszystkim zbyt dobrze jeszcze tkwiły w pamięci wymysły, jakie pismo to rzucało na kler katolicki i Polaków amerykańskich.

Przebieg miniaturowego zjazdu był pomimo sprzecznych żywiołów udział w nim biorących dość spokojny, a nawet poważny; godnością jednego z wice-prezesów zjazdu zaszczycono Polaka p. Kazimierza Neumana, redaktora „Dziennika Chicagowskiego“. Z szeregu rezolucji powziętych przez zjazd wymienić należy jedną zalecającą rodzinom słowiańskim obowiązkowe posyłanie dzieci do 14-go roku życia do szkół parafialnych, a więc narodowych. Postanowiono również otworzyć w pismach słowiańskich składki dla rodzin ofiar zbrodni w Pensylwanii. Najdonioślejszym jednak rezultatem tego w gruncie rzeczy chybionego projektu, było utworzenie stowarzyszenia dziennikarzy słowiańskich, do którego przystąpili wszyscy obecni na zjeździe dziennikarze.

Nowa ta instytucja postawiła jako główny cel swego zadania inicjatywę w zwołaniu wiecu wszechsłowiańskiego i utworzeniu ligi wszechsłowiańskiej w Ameryce. Każdy łatwo zrozumie, że wobec dzisiejszych stosunków amerykańskich, dopuszczających do podobnie nieczystych zbrodni, jak ostatnia w Pensylwanii, powstanie instytucji mającej na celu silną i skuteczną obronę interesów ogólnosłowiańskich uważać należy za fakt pierwszorzędnej dla spokojnego rozwoju żywiołu słowiańskiego doniosłości.

Tak się na projekt ten zapatruje tutejsza inteligencja słowiańska bez różnicy narodowości i powitała go z zapalem, jako zadatek lepszej przyszłości.

Z przyjemnością zaznaczyć możemy drugi fakt równie pocieszający, dotyczący wyłącznie Polaków w Ameryce zamieszkałych. Jest nim ponowne przywrócenie do życia istniejącego już dawniej w Nowym Yorku polskiego „Domu emigracyjnego“. Instytucja ta założona w r. 1891 utrzymuje się dzięki ofiarności prywatnej, a mianowicie kleru polsko-amerykańskiego. Brak funduszków był przyczyną kilkakrotnego zamknięcia pożytecznej tej i dla imigrantów bardzo doniosłej instytucji. Zamknięty ostatecznie z początkiem ubiegłego roku, obecnie dzięki dobrej woli arcybiskupa Corrigan'a oddany został w zarząd polskim siostrzom zakonnym, znanym pochlebnie z swej zapobiegliwości. To też rozwija się pod nowym zarządem bardzo pomyślnie i można mieć uzasadnioną nadzieję, że przyszłość jego jest zapewniona.

Istniejące przy publicznych bibliotekach miejskich w Chicago, Detroit, Milwaukee i Buffalo oddziały polskie wzbogaciły się w ostatnich czasach znacznie, a to dzięki ofiarności prywatnej mieszkańców tych miast i niektórych nakładów polskich z Europy, którym dola braci ich na drugiej zamieszkałych półkuli leży na sercu. Rada miejska w Milwaukee postanowiła z funduszków miejskich zakupić przeszło 300 dzieł polskich. Przy tej sposobności wyszła na jaw buta niemiecka, która i tu, aczkolwiek zrzadka, się odzywa.

Oto superintendent biblioteki miejskiej, Niemiec, zapytany w drodze urzędowej, jaka jest frekwencja oddziału polskiego i czy byłoby

pożądaniem zasilenie go nowymi dziełami, odpowiedział, że „literatura polska niema wogóle dzieł, godnych czytania.“ Nie potrzebujemy dodawać, że nie ominęły go za to surowe cięgi pism miejscowych.

Jako objaw nader pocieszający zanotować również wypada rozwijający się w ostatnich czasach przemysł polsko-amerykański. Polacy tu-tejsi to przeważnie robotnicy, a w najlepszym razie drobni przekupnie i szynkarze.

Obecnie zauważyć się daje w tym kierunku zwrotku lepszemu; dziś Ameryka posiada już dwie fabryki założone przez Polaków z robotnikami wyłącznie polskimi, a mianowicie w Chicago fabrykę wyrobów żelaznych, założoną przez Lisiewskiego i Trojanowskiego i w Nowym Yorku fabrykę fortepianów Leśniewskiego i Krahnkego. Fabryki te rzecz prosta są bardzo skromne i niedorównują olbrzymim tutejszym przedsiębiorstwom fabrycznym, wobec jednak konkurencyi miejscowej sam fakt, że znalazł się ktoś, który odważył się rywalizować z tą konkurencją, godzien zaznaczenia i słów gorącego uznania.

Zmarł tu Karol A. Dana, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy Stanów Zjednoczonych, dyrektor „New York-Sun“. Urodzony w Hinsdale w r. 1819 był najpierw subjektem w sklepie bławatnym u wuja, czując jednak zamiłowanie do nauk, wstąpił na uniwersytet i ukończył studia za własne oszczędności. Pierwsze kroki dziennikarskie stawiał zmarły w „Harbingerze“, organie zasad Fourier'a, po trzech latach jednak zerwał z temi teoriami i udał się do Bostonu, gdzie objął kierownictwo pisma „Chronotypa“.

Następnie przeniósł się do Nowego Yorku, gdzie został reporterem „Tribuny“ i porucznikiem Horacego Greeley w wojnie wypowiedzianej niewolnictwu. Poróżniwszy się z Greelem przedsięwziął wydawnictwo wielkiej encyklopedyi amerykańskiej w 16 tomach, nad którym pracował wspólnie z Jerzym Rupley przez 10 lat; później wydał zbiór poezyi autorów amerykańskich. Lincoln mianował go trzecim podsekretarzem w ministerjum wojny, a po skończeniu wojny secesyjnej powrócił Dana do dawnego zawodu, objął w Chicago kierownictwo „Republikana“, a po jego upadku przeniósł się do „New-York-Sun“ i uczynił z dziennika tego pierwszorzędny organ prasy amerykańskiej. Zmarły był nie tylko świetnym dziennikarzem, ale i wybornym lingwistą, znawcą sztuki i przyrodnikiem.

W kronice żałobnej zanotować jeszcze wypadła śmierć Neala Dow, znanego inicjatora i twórcy praw, zmierzających do szerzenia obowiązkowej trzeźwości. Obrany w r. 1854 burmistrzem Portlandu, rozpoczął fanatyczną walkę przeciw używaniu napojów wysokowych i przeprowadził przyjęcie drakońskiego prawa „Maine Liquor Law“. Neal Dow zarządzał rewizy w domach prywatnych, celem odnajdywania napojów wysokowych, a gdziekolwiek je znalazł, kazał je zabierać i niszczyć, skazując właścicieli na znaczne kary pieniężne i więzienie. Prawo to dało inicjatywę do wydania przepisów o wstrzeżliwości w innych Stanach.

W r. 1880 był Dow jednym z kandydatów na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale otrzymał tylko 10 tysięcy głosów. Zmarły cieszył się w ostatnich latach swego życia olbrzymią sympatią wśród niższych warstw, które odczuwały całą doniosłość wydanych przez niego w swoim czasie rozporządzeń.

„Komisya do dróg wodnych“ w Nowym Yorku, mianowana przez prezydenta Mac Kinley'a, opracowała projekt kanału, któryby połączył wyższe jeziora wewnętrzne z oceanem Atlantyckim. Kanał ten zaczynać się ma pod Tonawandą, prowadzić do jeziora Ontario, dalej pod Wilson przez Oswego do jeziora Oneida, a ztamtąd do rzeki Mohawk, która za pośrednictwem wód Hudsona pozostaje w bezpośredniej komunikacji z oceanem Atlantyckim. Ogólne koszty budowy kanału mają wynieść według sporządzonych kosztorysów 88,098,601 dolarów. Kanał Sueski kosztował, jak wiadomo przeszło 400 milionów franków. Głębokość kanału wynosiłaby na większej

części jego przestrzeni 25 stóp i ztąd największe statki mogłyby po nim kursować. Kanał ten i jego tamy zabezpieczyłyby również od powodzi całe terytorium między Little Talls a jeziorem Oneida, gdzie coroczne prawie wylewy zrzadzają wielkie szkody.

Na zakończenie nieco ze statystyki Nowego Yorku, zaczerpniętej z dat urzędowych. Otóż według dat tych liczy obecnie Nowy York 3,100,000 mieszkańców; powierzchnia jego wynosi 359 angielskich mil kwadr., wartość nieruchomości podlegających opłacie podatku wynosi 2,583,000,000 dolarów, długi wynoszą 170 milionów dol. domów liczy miasto 130,000, sklepów 37,000; ulice New-Yorku mają długości 900 mil ang. (1 mila ang. równa się 1,624 metrom); długość kanałów wynosi 700 mil ang., a długość kolej miejskich 1,200 mil angielskich.

Z. Rawicz.

Z bieżącej chwili.

— Jeden z warszawskich wykwalifikowanych zegarmistrzów poczynił starania o uzyskanie pozwolenia na otwarcie w mieście naszym szkoły zegarmistrzowskiej. Kurs ma być trzyletni i obejmować ma dział budowy i reparacji drobnych zegarkowych aparatów muzycznych.

— Za przykładem krawców, koszykarzy i introligatorów, którzy już od dłuższego czasu dopuszczają kobiety do swych cechów, pragną pójść i fryzjerzy. Kwestya należenia kobiet do warszawskiego cechu fryzjerów, niebawem zostanie w tutejszym magistracie rozstrzygnięta.

— Od Nowego Roku s. s. wprowadzony będzie w całym Państwie system metryczny miar i wag, na razie jednak nieobowiązkowo. Jednocześnie ministerium skarbu występuje do innych ministeriów z prośbą o popieranie reformy. Celem rozpowszechnienia nowego systemu odbywać się będą specjalne wykłady w armii, w szkołach wiejskich, kolejowych i t. p. System metryczny stanie się z czasem powszechnie w całym Państwie obowiązującym.

— Ministerium oświaty uchwaliło w zasadzie utworzenie przy główniejszych uniwersytetach 6 katedr rolniczych, a mianowicie 3 katedry z dziedziny nauki o glebie i 3 z dziedziny nauki o drobnoustrojach. Równocześnie założony ma być na wzór istniejącego już instytutu geologicznego państwowy instytut gleboznawczy. Celem opracowania w sprawie tego memoriału dla rady państwa utworzona została przy ministerium oświaty specjalna komisya z udziałem profesorów uniwersytetu.

— W Grudniu r. z. zmarł w Wiedniu poeta Wacław Pomian (Komierowski). Utwory zmarłego drukowały od lat przeszło 25 wszystkie niemal pisma warszawskie. Przed dwoma miesiącami wydał ś. p. Komierowski tomik sonetów erotycznych, którymi się chlubił zapisał w historii poezji naszej.

— Za staraniem Rady miejskiej dobroczynności publicznej powstać ma w Warszawie laboratorium dla doświadczeń z promieniami Roentgena do użytku lekarzy. Urządzenie laboratorium powierzyła Rada d-rowi Mikołajowi Brunnerowi, jako specjalnie z sprawą tą obeznanego, wyasygnowawszy na cel ten 2,000 rs. Laboratorium to otwarte zostanie przy szpitalu Ś-go Ducha z początkiem r. b.

— Izba kasacyjna w Paryżu odmówiła prośbie panny Janiny Chauvin o dopuszczenie jej do wykonywania praktyki adwokackiej. Petentka nie dała jednak za wygraną i sprawę swą wnosi przed forum parlamentu, mając zapewnić poparcie wpływowych osobistości.

— Na ostatniem walnem zgromadzeniu członków żeńskiego gimnazjum w Krakowie podniesiono myśl założenia takiegoż gimnazjum w Przemyślu. W celu urzeczywistnienia tego projektu wybrano komisję złożoną z p. p. prof. d-ra Bujwida, d-ra Heinricha i p. Maryi Wiśniewskiej. Odczytane sprawozdanie stwierdza bardzo pomyślny rozwój gimnazjum krakowskiego.

— W Paryżu powstaje nowy dziennik p. t. „Fronde“. Organ ten będzie redagowany wyłącznie przez kobiety, poświęcając swe szpalty nie tylko sprawom ruchu kobiecego, ale wszystkim kwestyom na dobie. Będą w nim szeroko traktowane działy: polityczny, informacyjny, krytyczny, artystyczny, sportowy, handlowy. Główną redaktorką będzie p. Małgorzata Durand. Politykę zewnętrzną prowadzić będzie p. Adam, wewnętrzną p. Ludwika Michel. Dział krytyczny obejmie Sara Bernhardt. „Fronde“ wychodzić zacznie od Nowego roku, a w pierwszym numerze ukaże się studium o „Damie kameliowej“.

— Komitet Zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem, imienia d-ra J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona, przyznane zostaną w roku 1901 dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznana będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznymi), ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach: 1897, 1898, 1899 i 1900; druga zaś za taką pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń uczynionych przez zapisodawcę, powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet zarządzający Kasą własnem staraniem będzie usiłował zebrać, dla poddania ocenie, prace ogłoszone drukiem w wymienionym okresie; dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Niecała Nr. 7) lub na ręce jednego z członków Komitetu.

Regulamin przyznawania nagród mieści się w szóstym sprawozdaniu z czynności Komitetu (za rok 1887) i każdemu, na żądanie, nadesłany być może.

MYŚLI.

Taka jest konieczna kolej w rzeczach ludzkich: żeby nabyć jakie prawo, potrzeba pierwaj uczynić ofiarę. Otóż tym porządkiem i kobieta wyzwała się w Polsce. Jest ona w tym kraju silniejsza niż gdziekolwiek, jest więcej szanowana, zna się być towarzyszką mężczyzny. Otrzymała to nie za pomocą rozpraw o prawach płci żeńskiej, nie przez szerzenie teorii wymyślanych na zdobycie dla niewiasty stanowiska w społeczeństwie, ale przez poświęcenie się przez ofiarę. Powtarzamy: wielkie zadanie wyzwolenia kobiety, u nas jest daleko bardziej zbliżone do rozstrzygnięcia, niżeli w którymkolwiek innym kraju.

Ad. Mickiewicz.

W ciągłej przykłady i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego, twej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego—tysiące!

Z. Krasiński.

Podczas gdy blichtr umnięstwa wysuwa się bezczelnie naprzód zawsze i wszędzie, rozstrzyga wszystko stanowczo, tłumaczy niepytan, naucza nieproszony, wiedza prawdziwa jest skromną: tu człowiek kryje się po za nią, korzy, a im wyżej się wdrapał, tem dalej widzi przeszeń, do przebycia której, żywot jego wystarczyć ani nie może, i z całą pokorą wyznaje: to tylko wiem, że nic nie wiem.

J. Supiński.

Jaka przyczyna nieraz tak wielkiej, tak zdumiewającej, moralnej wysokości kobiet? Nic innego, tylko cierpienie, które urabia je na aniołów.

Trentowski.

Mówić, pisać, wywodzić umimy, a czynić najmniej.

X. P. Skarga.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusze 6 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Seweryna z Żochowskich Pruszkowa-Duchńska, przez Szczęsną. — Do wnuczki M. T., przez Sewerynę Duchńską. — Odwiedziny, przez S. Chwatowa. — Jerzy Gordon Noel Byron, przez Władysława Nawrockiego. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — Poezye. „Z marzeń i życia“, przez Szczęsną. — Ruch niewieści w Niemczech. — Z Ameryki, przez Z. Rawicza. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusze 6. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 16 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 31 Декабря 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.